Świat powieściowy.

Nr. 124 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Złamany a nieugięty.

POWIEŚĆ

przez Marję Grochowalską

(Ciąg dalszy)

Pułkownik Lemański nie zachwycał się jednak wtedy ani wdziękami ani tryumfami swej pupilki. W parę miesięcy po oddaniu jej do szkoły baletu, został mianowany jenerałem i zawezwany do Wiednia. Z początku interesował się dziewczęciem, pisywał często, posyłał pieniądze i dowiadywał się o nią, po dwóch latach już tylko posyłał pieniądze, a nim drugie dwa upłynęły ustały wszelkie od niego przesyłki i zdawało się, że zapomniał zupełnie o jej istnieniu.

Paula tem mniej troszczyła się o niego. Nie potrzebowała go teraz zupełnie. Życie jej płynęło lekko wśród gaz i koronek, zachwytu publiczności i grzmiących oklasków, któremi ją witano i żegnano, a których odgłos do snu ją kołysał. Żyła tylko swymi tryumfami, wśród których serce jej ani razu nie uderzyło gorętszem tętnem. Pomimo odbieranych hołdów od starszych i młodszych, bogatych i jeszcze bogatszych, pozostała dotąd niewinną, czystą i niedomyślającą się nawet zepsucia, wśród którego przebywała. Żyła życiem motylka, spiewając i tańcząc, pijąc pełną piersią z kielicha swej sławy nektar słodki lecz odurzający. W samolubnem i próżnem jej sercu zabrakło miejsca na uczucie miększe, rzewniejsze. Dary składane jej w dani, przyjmowała jako należne, nie przywiązując do nich żadnej wagi i wartości, wyznania zaś miłośne wyśmiewała z trzpiotowatością lat swych i temperamentu zmiennego.

Paula nie dotrzymała kontraktu z baletem warszawskim. Zapragnęła nowości, świeżych tryumfów i z ogromną stratą wywikławszy się z procesu, którym jej grożono, wyjechała do Wiednia. Przybrała nazwisko „Salden“, które gdzieś wyczytała i poprzedzona rozgłosem rozpoczęła gościnne swe występy.

Jenerał, namiętny wielbiciel płci pięknej, zobaczywszy ją na scenie teatru wiedeńskiego, zachwycił się nią tak, jak to tylko zachwycać się umieją starzy, przeżyci libertyni. Ani domyślał się, że Paula Salden, sławna piękność i skończona artystka, której podziwem zapełniano szpalty dzienników, a mała Paulinka, znaleziona na drodze włóczęga, jest tą samą osobą. Nie trudno więc wyobrazić sobie jego zdumienie, gdy przy pierwszej wizycie u niej, śliczna Paula rzuciła mu się na szyję, przypominając wszystko.

Jenerał wkrótce rozszalał uczuciem niepohamowanem. Pokochał ją, jak kocha tylko po raz pierwszy młodzieniec, lub po raz ostatni namiętny człowiek, stojący na progu starości. Obsypywał ją wszystkiem, o czem tylko zamarzyła, kąpiąc w wschodnim przepychu i obsypując królewskiemi darami, a odbierając za to mnóstwo owych pieszczot niby niewinnych, które rozpalały krew i wyobraźnię szaleńca. Stał jednak dotąd na tym samym stopniu znajomości, jak w pierwszym dniu poznania. Czarodziejka z bezwiedną zręcznością w szał zmieniała niezaspokojone uczucia namiętnego starca, nie domyślając się nawet jakie straszne przebywał katusze.

W tymto czasie los, wypadek, czy fatalizm, rzucił Arnolda między nich dwoje, a rzucił go tak nieprzygotowanego, że biedny młodzieniec silne poniósł uszkodzenie.

Najprzód słodkie, blade oblicze oddalonej Loli, zaczęło się okrywać mglistą jakąś zasłoną, a natomiast w śnie i na jawie jawiła mu się w pół tylko kryjąca swe cudowne kształty postać młodziutkiej dzieweczki, stojąca wśród lamp koloro-

wych na stole, jak ptaszek na jednej nóżce. Czarowna ta postać wśród nadpowietrznych pląsów usiadała nieraz przed nim na najpoważniejszych księgach, z których dotąd tak spokojnie czerpał wiedzę, nieodstępnie wirowała wśród sal wykładowych, czarownie pląsając po stołach i ławkach, i czyniła, że poważne słowa profesora gubiły się w metalowym śmiechu, który dotąd brzmiał w jego uszach, jak w oczach drgały złote płomyki włosów, będące w takiej sprzeczności z aksamitem spojrzenia płomiennych ócz czarnych.

Arnold dowiedział się z afiszów, kim była czarodziejka, która tak głęboko wkradła się w jego serce. Obywał się więc teraz bez chleba, by tylko módz patrzyć na nią, jaśniejącą szczęściem wśród tryumfów. a po każdem takiem widzeniu wracał oszołomiony i rozgorączkowany.

Minęło tak kilka miesięcy. Arnold wychudł i pobladł, chodził jak senny, a profesorowie z przycinkami odzywali się o jego teraźniejszem zaniedbaniu, porównywując je z wzorową przedtem pilnością. Lola utyskiwała na krótkość listów, tłumacząc go jednak brakiem czasu i dzieląc się z nim marzeniami słodkiej przyszłości, do której czas ich zbliżał.

Pierwsze dnie wiosny, wywabiając wszystkich znudzonych długą zimą na dalszą przechadzkę, wywabiły również i Arnolda, który teraz z podwójnym uporem uciekał od towarzystw wszelakich. Zrobił jednak zaledwie parę kroków, gdy usłyszał tuż przy sobie srebrny głosik:

— A! to pan! Jenerale to ten pan, który oddał mi serduszko! — i rączka malutka, obciśnięta jasną rękawiczką, dotknęła się jego ręki. — Wiesz pan — ciągnęła dalej roztrzepana trzpiotka — śnisz mi się pan czasem. Bardzo niegrzecznie, żeś pan nie przyszedł ani razu dowiedzieć się historji mojego serduszka. Czekałeś, żebym cię zaprosiła? Ale gdzież ja mogę pamiętać o wszystkiem! Przyjdź pan jutro do teatru, będę występować. Czy widziałeś mię kiedy na scenie? Mówią wszyscy, że cudownie wyglądam! Nie tylko jenerał, ale wszyscy inni szaleją — teatr chwieje się od oklasków! Jenerale, potrzebny mi djadem z pereł — gdzieś mi się podział tamten. Odprowadzisz mię pan potem do domu — oszalejesz jak inni! Jenerale, patrz co to za pyszny ekwipaż — muszę mieć taki..... — i nie skinąwszy nawet główką oszołomionemu Arnoldowi, pociągnęła za sobą towarzysza, znikając w tłumie przechodniów.

Arnold wróciwszy do domu, pierwszy raz siłą woli oddał się głębszemu rozmyślaniu nad sobą. Dotąd nie chciał się zastanawiać nad mogącemi wyniknąć z tej znajomości skutkami. Z marzeniem, które teraz pieścił w swej duszy — pomimo, że męczył się z niem jak po przełknięciu powolnej, słodkiej trucizny — było mu tak jakoś roskosznie, że nie chciał je rozumem zwyciężać, wmawiając w siebie, że zostanie ono na zawsze li tylko snem niepochwyconym w ramy rzeczywistości.

Dziś marzenie oblekło się ciałem. Zobaczył ją z blizka, i ona — ona go zaprosiła! Więc będzie mógł ją widywać i marzyć patrząc w jej czarowne oczy.... Nie — na to sił nie czuł w sobie! Cóżby jej powiedział — jakiemiż słowy odezwałby się do niej? Kochał-że ją?... — Na to zapytanie, uczynione swemu sumieniu, zerwał się z krzesła i machinalnie chwycił fotografję narzeczonej, którą mu w ostatnim liście przysłała, a z której tak tkliwie oczy na niego patrzyły i usta uśmiechały się tak łagodnie... Arnold jednak dostrzegł teraz lekkie zmarszczki około ócz, we włosach przeczuł srebrne nitki, a ręce zdawały mu się za duże i niezgrabne. Myślał jednak długo — długo, a wśród tych myśli dziwnie się mienił. Rumieniec ciemny występował mu na lica, to znowu robił miejsce sinej bladości, usta uśmiechały się, to znowu boleśnie zaciskały, oczy pałały, a na czoło występowały krople potu...

Północ zastała go jeszcze w tem dumaniu. Nareszcie pierś jego podniosła się ciężkiem westchnieniem, usta coś cicho wyszeptały, a na trzymaną w rękach fotografię upadła łza gorąca. W tej chwili poczciwe serce jego odniosło tryumf nad rodzącem się uczuciem. Lola tej nocy we śnie uśmiechała się słodko i miała sen cudowny...

Arnold zbudził się blady lecz spokojny, z silnem postanowieniem nie tylko nie korzystać z zaproszenia, ale unikać nawet wszystkiego, co by go mogło zbliżyć do pięknej artystki. Następnie zabrał się z dawną pilnością do nauki, odpędzając myśli, tłoczące się do głowy. Apetyt go jednak odbiegł i jakieś dziwne ubezwładnienie owładło.

Wieczór jednak zapragnął przejść się i skierował swe kroki..., do teatru. Publiczność cisnęła się tłumnie, chcąc roskoszować w powabach artyzmu i artystki. Arnold kilka razy sięgnął do kie-

szeni, chcąc kupić bilet, lecz zawsze się przezwyciężał.

Nareszcie pusto się zrobiło w przedsionku teatru; przedstawienie się zaczęło. On sam jeden został u wnijścia, z głową pałającą stojąc jak przykuty, gdyż nie miał siły odejść. Jak długo stał i jakie myśli mózg mu rozrywały, piekąc jak żelazo rozpalone, sam przed sobą nie zdołałby zdać sprawy.

Naraz zrobiło się tłumno w około niego Popychano go na wszystkie strony. Turkot zajeżdżających karet, wrzawa i zgiełk, zbudziły go z bolesnego letargu. Przypomniał sobie, że stoi u wejścia, że trzeba odejść i posunął się o parę kroków. Fatalizm zrządził zapewne, że znalazł się wśród tłumu mężczyzn, otaczających śliczny ekwipaż, na którego perłowych, aksamitnych poduszkach, z wdziękiem nieporównanym rozpierała się cudowna dzieweczka, czarująca demonicznym blaskiem źrenicy, otulona przed wieczornym chłodem białym kaszmirem. Rzęsiste lampy, które noc w dzień zamieniały, dozwoliły jej dostrzedz go wśród tłumu, więc wyciągnąwszy rękę:

— Siadaj pan — zawołała. — Odprowadzisz mnie do domu. Prawda, świetny odniosłam tryumf?! Widzisz co tu kwiatów i wieńców! Wyrzuć tego połowę i siadaj — jedźmy! — i nie rzuciwszy nawet okiem na licznych wielbicieli, którzy zazdrośnemi oczyma przypatrywali się nieznanemu im młodzieńcowi, pociągnęła za jedwabną taśmę od dzwonka, na który to znak konie ruszyły, pozostawiając za sobą zastęp niezadowolonych.

Arnolda stałe postanowienie rozpłynęło się w nicość, wobec szczebiotu i przymilań złotowłosej syreny. Mówiła tak wiele i z taką swobodą, że jemu przypadła rola słuchacza jedynie, ale za to ośmielił się do tego stopnia, że patrzył bezustannie w płomieniste jej oczy, których blask rozświetlał mu jakąś nową ścieżkę żywota.

Pożegnała go w progu swego mieszkania, zapraszając do częstych odwidzin.

Arnold wróciwszy do domu, był prawie nieprzytomny. Zapomniał zaświecić lampę — jemu było jasno jasnością niebiańską czy piekielną! Nie rozebrany padł na łóżko i zasnął snem ołowianym. Nie musiał to być jednak sen posilny, bo zbudził się z silnym bolem głowy, a spojrzawszy w źwierciadło zobaczył nie tylko sine obwódki około ócz, ale spostrzegł także wiele stron ujemnych w swem dotąd najparadniejszem ubraniu... Wyjął wnet z szufladki przeznaczone na kilkomiesięczne życie pieniądze i włożył je do pularesu. Przy tej sposobności fotografja Loli przeniosła się z pularesu na mieszkanie do biurka.

Arnold dnia tego nie był na wykładach.

Lola, oddalona o mil wiele, od rana cierpiała na ból serca, po nocy spędzonej bezsennie.

Minęło kilka miesięcy, wśród których Arnold rozszalał do tego stopnia, żyjąc jedynie tą nową miłością, że zaniedbał zupełnie nauki i zapomnieć się starał o przeszłości, której wspomnienie stało się dla niego gorzkim wyrzutem.

Paula zapraszała go do siebie i świadomie czy nieświadomie nęciła tą naiwną kokieterją i śmiałością, która jest dozwoloną tylko aktorkom, a która przy wdziękach i artyzmie staje się zwykle bronią zabójczą.

I stało się to, czego ona sama nie spodziewała się zupełnie: — Paula pokochała ubogiego medyka!... Paula, wyśmiewająca uczucia — Paula nie kochająca nic prócz desek teatralnych i grzmiących oklasków — Paula pełnemi garściami biorąca złoto od tych, którzy myśleli, że niem kupią ją całą — ta śliczna i świecąca jak drogocenny kamień, lecz i zimna jak kamień Paula, kochała teraz, a kochała krwią młodą i rozpaloną wyobraźnią, kochała namiętnie, po ziemsku, nie umierać lecz żyć chciała i rozpłynąć się w rozkoszy nieznanej jej dotąd miłości!...

Męczyła się oczekując wyznania Arnolda, o którego miłości wiedziała, ale który dotąd ograniczał się na milczącem ubóstwianiu...

Jenerała zazdrość wzmagała się z dniem każdym.

— Paulo — rzekł raz do niej — Paulo, ja cię proszę, ja cię błagam, przestań przyjmować tego medyka.

Paula pokręciła przecząco główką.

— Prośba twa i błaganie nie odniosą skutku jenerale — odrzekła. — Kocham Arnolda, rozumiesz, kocham go, potrzebny mi jest do życia, do szczęścia, bez niego umarłabym! Chciałżebyś, bym umarła?... — dodała zalotnie.

Jenerał porwał się za głowę.

*

— I mnie to mówisz, mnie, że kochasz innego? Ha! więc ty nie widzisz, że ja szaleję z miłości?! Paulo, zejdź ze sceny, wyrzeknij się tryumfów teatralnych, dam ci moje imię, pojmę za żonę, obsypię dostatkami, zapiszę cały majątek, stanę się niewolnikiem twoim, ale bądź moją, pokochaj choć trochę.... och! Paulo! nie kochaj tamtego!

— Nie chcę ani ciebie ani twych bogactw — rzekła zimno. — Jesteś starym, choć się trzymasz jeszcze dobrze. Ja pragnę roskoszy, życia, miłości! Kocham Arnolda i powiem mu to pierwsza! Za długo czekam już na jego wyznanie, jestem jednak pewną, że mnie również kocha!

I w istocie tego samego dnia, przy wieczornym zmroku, gdy Arnold jak zwykle przyszedł, i mówiąc z nią patrzył w jej oczy jak w tęczę, rzekła do niego:

— Po co to udawanie Arnoldzie! Wiem i jestem tego pewną, że mnie kochasz!.... Wyznaj to głośno, lub zaprzecz stanowczo! Czego lub kogo się boisz? Mnie nie, bo i ja cię kocham — ciebie jednego i pierwszego!...

Arnold nie znalazł słów wiele na odpowiedź, ale w cichym szepcie zachwytu i podziękowania drżała taka prawda i siła uczucia, że bezwiednie prawie znaleźli się w objęciu — serce przy sercu — usta przy ustach.

Od tej chwili Paula i Arnold poznali się ze szczęściem i roskoszą ziemską. Listy Loli leżały nierozpieczętowane. Arnold zaprzestał nawet uczęszczać na wykłady; pracę lat tylu ścięła namiętność! Dla dogodzenia Pauli, a może i dla nieodstępowania jej i na chwilę, zaangażował się i on do teatru i został nędznym chórzystą!

Jenerał rwał sobie włosy z głowy, zamykał się w swoim pokoju i wtedy płakał jak dziecko i tarzał się z bolu.

— Oddam mu wszystko lub go zabiję! — wołał i pienił się ze złości i szalał z namiętności na myśl, że inny posiada tę, którą on chciał na wagę złota kupić, węzłem małżeńskim przykuć do siebie, w gwiazdy ustroić. Wyglądał, jakby postarzał się o lat wiele i to go więcej jeszcze dręczyło.

Paula zamknęła salony dla swych wielbicieli. Żyła dla sceny i dla Arnolda tylko, nie krępując niczem ani kryjąc z uczuciem, które chrzciła mianem miłości. Byłaż to miłość w istocie, to uczucie szalone, namiętne, niepohamowane, jakiem darzyła Arnolda? Było to coś w rodzaju szału pijanego, to też Arnold był niem pijany, broniąc się nawet przeciw wytrzeźwieniu. W tym stanie było mu dobrze — senno — wygodnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po latach dwudziestu.

(Ciąg dalszy).

XXII.

Armand, odczytawszy po raz setny może list Walentyny, zeszedł do ogrodu, aby w cieniu drzew i na świeżem powietrzu, ochłodzić czoło rozpalone i pozbierać myśli rozpierzchłe. Jak tu wyjść z fatalnego położenia? Czuł się już teraz złamanym, przybitym, tyloma okropnemi wrażeniami. Czy potrafi dotrwać do końca? Czy udźwignie ten krzyż ciężki, który z taką gotowością, z tak szlachetnem zaparciem samego siebie, z tak szczytnem poświęceniem, brał na ramiona? Siły go opuszczały, zwątpienie opanowywało. Zaczynał bunt podnosić przeciw *fatum* złowrogiemu, które całą odpowiedzialność za grzechy przez innych popełnione, na ich głowy niewinne zrzucało. Marzył o ucieczce z Walentyną, daleko, na kraj świata, w taką puszczę niedostępną, gdzieby żaden głos, żadne widmo z przeszłości, ich snów o szczęsnej doli nie płoszyło.

Pogrążony w bolesnej zadumie upadł na ławkę kamienną, z głową w dłoniach, z łokciami na kolanach opartemi.

Gdy po chwili podniósł czoło, zobaczył cień długi na trawniku. Na ten widok zerwał się z ławki.

Był to Torquenié, ubrany bardzo porządnie, który zbliżywszy się cicho, stał teraz obok ławki z kapeluszem w ręku, w korniej postawie, nie chcąc przeszkadzać adwokatowi w jego zamyśleniu.

Zjawienie się niespodziewane dawnego galernika, tak dziwnie zbiegło się z Armanda najtajniejszemi myślami, które mu chwili spokoju niedawały, iż z krzykiem trwogi wyciągnął ramię, jakby chciał widmo odtrącić, wywołane własną jego fantazją rozgorączkowaną.

— Czego pan żądasz? Po coś tu przyszedł? — zawołał rozdrażniony.

To przyjęcie, nie bardzo zachęcające, nie zmięszało jednak Torquenié'go.

— Powiedziano mi — rzekł cicho — iż panu zawdzięczam pozwolenie przebywania w tem mieście. Jest to nowe dobrodziejstwo, za które przychodzę całem sercem podziękować.

A gdy mu Armand na to nic nie odpowiadał:

— Panie! — dodał głosem drżącym. — Bądź do

końca moim najłaskawszym opiekunem, powiedz, czyś raczył przez tych dni dziesięć myśleć o mnie i o mojej sprawie? Czy jesteś na tropie mordercy prawdziwego? Od czasu, jak zjawiłeś mi się pan w Evreux, żyję tylko tą nadzieją! Posłałem był mój adres; czyś pan list odebrał?

— Odebrałem — mimo zgryzot własnych, w szlachetnem sercu Armanda, obudziło się znowu żywe współczucie dla nieszczęśliwego. — Musisz pan jednak być cierpliwym i wyrozumiałym. Taka sprawa, po latach dwudziestu, nie da się w dni kilka załatwić i wypośrodkować. Zostaw mi pan trochę czasu do tego wszystkiego.

Aby sprawić radość biedakowi i skierować myśl jego, w jednym kierunku wytężoną, na inny przedmiot, Armand skinął na ogrodnika, który nieopodal był w kląbie zajęty, i szepnął mu coś do ucha. Młody chłopak pobiegł z rozkazem ku pałacowi.

Wkrótce otworzyły się drzwi boczne, do suteren prowadzące, a na progu ukazała się piękna, młoda dziewczyna.

Stanęła zrazu jak wryta; ochłonąwszy jednak z pierwszego wrażenia, biegła szybko brzegiem trawnika ku grupie drzew, pod któremi widać było zdaleka Armanda i Torquenié'go. Biegła tak lekko, iż była już za plecyma Jakóba, a on w myślach pogrążony, na nią nie zwrócił uwagi.

Zawahała się, blada od wzruszenia; ośmielił ją atoli uśmiech przyjazny i giest zachęcający Armanda.

— Ojcze! — szepnęła.

Jakób zachwiał się, jakby kulą w samo serce trafiony. Zwrócił się ku niej gwałtownie, i wykrzyknął wśród łkania, które pierś mu rozdzierało:

— Joasiu!... Joasiu!... Moje dziecię jedyne!...

Chciała zsunąć się przed nim na kolana, ale nie dopuścił do tego, tylko porwawszy ją jak dziecię na ręce, okrywał pocałunkami namiętnemi twarz, włosy i ręce nawet.

— Przebacz!... przebacz ojcze drogi!... — Joanna szlochała, u jego szyi uwieszona. — Tyleś wycierpiał z mojego powodu!... nie wiedziałam!... nie spodziewałam się!... a byłam tak bardzo nieszczęśliwą!...

— Boże! Boże! jaka radość! jakie szczęście! — Torquenié powtarzał płacząc i śmiejąc się na przemian. — Myślałem, że cię już nigdy nie zobaczę!... Wyobrażałem sobie, żeś zawsze równie biedna, równie opuszczona!... A tyś piękna! strojna! zadowolona!... i całujesz ojca... i nie odtrącasz go od siebie!... I znowu tobie panie zawdzięczam ten nadmiar szczęścia!... tyle!... tyle!... wycierpiawszy!... to... nad siły!... Oh!... w oczach mi ciemno!... w piersiach... tchu... nie mam...

Upadł na tę samą ławkę, gdzie przed chwilą dumał Armand, i zachodziła istotnie ob...wa, żeby mu serce nie pękło ze zbytku radości. Joasia rozwiązała krawatkę, rozpięła surdut i pulsa tarła z całej siły. Uspokoiwszy się trochę, objął wpół córkę, posadził obok siebie, i sparłszy głowę na jej ramieniu, cicho zapłakał.

Znowu usta do jej czoła przycisnął, a wrok jego utonął w przestrzeni, dziwnie rozmarzony, jakby myślą przechodził cały szereg roskoszy i boleści, które go w życiu spotkały, jakby dotąd nie mógł uwierzyć w rzeczywistość tej chwili!

Armand chciał ich samych zostawić, aby mogli użyć do woli szczęścia, na które tak długo czekali.

Odchodząc wspomniał Torquenié'mu — sam przejęty do głębi — że pan Rousseau wrócił do Rennes, i adres jego wymienił.

— Pójdę do niego! pójdę panie! nie chcę atoli mieć innego obrońcy tylko pana!... On był dobrym dla mnie, ale tyś mi panie dziecię uratował! Tyś mi wrócił moją Joasię!... Oh! jaka ona do matki podobna!... Jakbym widział tamtę!... z grobu wstającą!...

Armand wrócił do domu, chcąc się z matką swoją rozmówić.

W pośród tak ważnych wypadków, cierpiał wielce, iż jest tak daleko od Walentyny. Dopóki nie rozegra się akcja dramatu bolesnego, w który wplątał go los przekorny, pragnął być jak najbliżej głównych aktorów, w skład dramatu wchodzących.

Czuł instynktowo, iż powinien przedewszystkiem otoczyć baczną strażą krok każdy hrabiego de Trameillan. Poprosił więc matkę, żeby wybrała się z nim na dni kilka, do ich wiejskiej rezydencji w Mesnil.

— Jeszcze ci za daleko do twojej najukochańszej? — uśmiechnęła się dobrodusznie pani d'Arçay. — Chcesz ją mieć okno w okno!... Dobrze synu, jutro pojedziemy! Za długo ci czekać do jutra? — dodała, widząc giest Armanda niecierpliwy. — No! to wreszcie... możemy się i dziś wybrać.

— Ah! mateczko najdroższa! jakaś ty anielsko dobra! — rzucił jej się Armand na szyję.

Przygotowania do podróży nie wiele czasu zabrały. Za kilka godzin wysiadali z powozu przed gankiem w Mesnil.

Jakóbowi i jego córce polecił, aby niebawem do Mesnil się również wybrali, gdyż chce ich mieć pod ręką na wszelki wypadek. Obiecał im zresztą na wsi pomieszczenie i zajęcie odpowiednie dla obojga.

XXIII.

Skoro tylko wysiadł w Mesnil i rozgościł się w pokoiku narożnym, zkąd istotnie (jak zażartowała pani d'Arçay) widziało się okno w okno zamek d'Albray, a szczególniej pawilon, zamieszkały przez Walentynę, Armand pchnął do niej z bilecikiem poczciwego, zaufanego Baptystę, aby wiedziała, iż jest o kilka kroków i czuwa nad nią, i ażeby porozumieć się z nią co do schadzki jeszcze dziś wieczorem. Musiał nie o jednem pomówić z Walentyną. Miejscem schadzki miał być kląb ze świerków, przytykający prawie do ogrodu w Mesnil, gdzie nieraz już na ławeczce kamiennej nie jedną godzinę spędzili, w słodkich marzeniach o przyszłości roskosznej, która ich czekała.

Przed samym wieczorem zjawił się i Jakób z córką.

Zostawił ją w ogrodzie, a sam udał się prosto do pokoju Armanda. Biedny człowiek był znowu dziwnie przybity i zaniepokojony.

— Ah! panie! — zawołał zaraz od progu. — Wiem wszystko! pan Rousseau wszystko mi opowiedział!... Wiem, jak się poświęcasz, przyjmując moją obronę! Ale ja nie mogę przyjąć tak wielkiej ofiary!

— Odstępujesz pan zatem od procesu? — słabość ludzka wzięła górę nad poczuciem obowiązku w sercu Armanda, i uczuł na tę myśl radość bezmierną!

— Wyrzec się mojego uniewinnienia?! — wykrzyknął Jakób z zapałem. — Nie, tego nie chcę i nie mogę uczynić, choćby tylko przez wzgląd na Joasię... Postaram się jednak o innego obrońcę. Pan tutaj nic nie zawiniłeś. Dlaczegoż miałbyś tak straszliwie pokutować?!

— Wycierpiałeś tyle, głównie z winy ojca mojego — Armand odezwał się uroczyście, wstydząc się w głębi duszy uczucia radości, które mu się teraz niemal podłem tchórzostwem wydało — Bóg jest sprawiedliwym przyjacielu, nam wypada tylko skłonić głowę przed Jego wyrokiem nieodwołalnym. Spełnię do końca moją powinność, przyrzekłem święcie wrócić niewinnemu cześć utraconą, i bądź co bądź, przysięgi nie cofnę! Lepiej zresztą, w własnym interesie osób, które mi są nad wszystko drogie, aby ta sprawa w moich rękach została.

Powtórzył Jakóbowi to wszystko, co był powiedział poprzednio Walentynie.

— Skoroś pan dowiedział się całą prawdę — dodał wskazując krzesło naprzeciw siebie Torquenié mu — usiądź tu i pogadajmy. Uwagi twoje i wspomnienia z przeszłości, mogą być dla mnie wartości nieocenionej i wielkiej doniosłości. A najprzód — rzekł Armand, skoro usiadł Torquenié — proszę sobie przypomnieć, co tylko mogłeś pan zauważyć w stosunkach ściślejszych hrabiny de Trameillan i pana de Mortrée.

— Mój Boże! odkąd mi pan Rousseau prawdę wyjawił, myślę i myślę nad tem, że mało mi głowa nie pęknie! Ależ to panie szmat czasu, lat dwadzieścia, i nie jedno z pamięci uleciało! To jednak dziś jeszcze sobie przypominam, że gdyśmy hrabiego Marcelego wnosili na leśniczówkię, zastałem u mojej żony panią hrabinę, która z częsta siostrę mleczną odwidzała.

— Myślisz zatem, iż znali się dawniej?

— Nie zdaje mi się, żeby tak było. Przynajmniej to wiem i pamiętam, że gdyśmy hrabiego de Mortrée z noszów ostrożnie na szezlongu złożyli, pani de Trameillan, bardzo blada i ze łzami w oczach, najprzód w niego się wpatrzyła z zajęciem widocznem, a potem, biorąc mnie na bok, cicho spytała: „Kto to taki?“

— U was więc spotkali się po raz pierwszy?

— Niezawodnie. I to dobrze pamiętam, iż dnia tego, kiedy miano hrabiego zabrać od nas, pani de Trameillan konno sama jedna nadjechała, a wywoławszy żonę moją do ogrodu, coś długo, długo, z nią się naradzała. Wreszcie konia do płotu podprowadziła, a z płotu zręcznie na siodło skoczywszy, do zamku wróciła.

— Teraz widzę wszystko jak na dłoni — Torquenié zaczął mówić po chwili milczenia. — Biedna Marietta bardzo zbłądziła pomagając im do schadzek. Ale tak hrabinę czule kochała, tak ją widziała nieszczęśliwą! U nas musieli się najczęściej widywać. Domek mój, jak pan wiesz, na ustroniu, schowany w drzew zieleni, a mnie po dniach całych w domu nie było. Dlatego to uśmiechała się Marietta figlarnie i tajemniczo, gdym jej czasem wymawiał, iż nadto często widują ludzie hrabiego de Mortrée na leśniczówce. Stała zapewne na czatach, gdy mąż oboje wyłapał, i z przerażenia tak ciężko zachorowała.

— Ktoby się był tego wszystkiego spodziewał! — ciągnął dalej Jakób smutno zadumany. — Myśląc po nocach całych, kto mógł być mordercą pana de Mortrée, nigdy pana mojego o to nie posądzałem. Nieboga moja, kryła się po raz pierwszy w życiu z czemś przed mężem, i Bóg ją za to ciężko pokarał! Ah! gdyby mogła była odzyskać przytomność! bodaj słów kilka przed śmiercią wypowiedzieć! Ale nieszczęśliwa o bożym świecie nie wiedziała, w malignie umierając!... Poniosła z sobą do grobu tajemnicę!...

— A nie posądzasz pan starej węglarki, że w tej całej sprawie musiała grubo rękę umaczać?

— To moje najgłębsze przekonanie. Wiecznie snuła się koło domu, wiecznie nas szpiegowała. Ona to musiała mi wykraść karabinek, którego tak dawno nie używałem, a następnie podrzuciła mi go zdradziecko... Ona! ona! teraz gotówbym przysiądz! otruła biedną moją Mariettę!...

Armand przeszedł się po pokoju, myśląc widocznie nad czemś bardzo ważnem. Zatrzymał się wreszcie przed Jakóbem.

— Wszak wspominałeś przyjacielu, iż panna Joanna ma być zupełnie do matki swojej podobna? — spytał zadumany.

— Nadzwyczajnie! Matka wykapana! To podobieństwo przecież tak mię już wtedy na wysepce pod młynem uderzyło, iż od razu córkę moją w dziewczynie zranionej odgadłem.

Armand potarł czoło:

— Baptysta z Joanną, wskażą wam obojgu pomieszkanie. Proszę usilnie, żeby nikt z was z ogrodu nie wychodził, i nikomu w okolicy się nie pokazywał, póki ja procesu nie skończę. Wszystko, być może... od tego zawisło!

XXIV.

Skoro noc zapadła, Armand przeszedł lasek, łączący ogród w Mesnil z parkiem d'Albray, i wyminąwszy gościniec murowany, który wielkie koło tworząc, drogę przedłużał, dostał się do parku wyłomem w murze, wskazanym mu od dawien dawna przez Walentynę.

Księżyc tej nocy nie świecił, ciemno więc było dostatecznie, aby nikt ich nie podpatrzył rozmawiających,

a powietrze było tak ciche, ciepłe i wonne, iż mogli mówić z sobą, choćby do brzasku dziennego.

Po trawniku stąpając ostrożnie, podszedł do samego świerka, w bilecie jako punkt zborny oznaczonego. Na ławeczce istotnie jakaś postać majaczyła w cieniu, i teraz, na lekki szelest kroków Armanda, podniosła się i ku niemu podeszła.

Armandowi serce zabiło i stanął jak wryty. Postać wysoka i barczysta, zatrzymała się również o krok od niego.

— Nie spodziewałeś się pan mnie tu zastać! — odezwał się ktoś sucho tonem drwiącym. Armand poznał natychmiast ten głos niemiły i chrapliwy.

— Pan de Trameillan! — bąknął zmięszany.

— Tak, to ja w własnej osobie. Odtąd trzeba, żebyś pan wiedział, iż niema nic między nami wspólnego! — głos hrabiego stawał się coraz groźniejszym, w miarę, jak gniew w nim wzrastał. — Nie wolno panu ani widzieć, ani pisać do hrabianki de Trameillan. Jest i będzie tak dobrze strzeżoną i zamykaną, iż żaden krok pański nie ujdzie oczom argusowym moich szpiegów, a jeżelibyś śmiał jeszcze kiedy wedrzeć się w nocy do mojego parku, strzelę do ciebie bez skrupułu, jak do złodzieja!

— O! wiem aż nadto dobrze, iż strytobójstwo należy do pańskich najmilszych zajęć i rozrywek! — odrzucił Armand z gryzącą ironią — przestrzegam pana jednak, iż pogróżek jego bynajmniej się nie zlęknę. Walentyna jest moją narzeczoną w obec Boga, i będzie moją żoną, tego bądź pan pewny! Przeszkody wszelkie ze strony pańskiej, podniecą tylko nasze wzajemne przywiązanie.

— Więc pan masz za nic święte prawa ojcowskie?! — hrabia podniósł groźnie pięść zaciśniętą.

— Prawo ogranicza prawomocność władzy ojcowskiej nad dzieckiem do pewnego terminu, a ten termin, dzięki Bogu! już nie daleko panie hrabio! — Armand drwiąco odrzucił.

— Prawo! prawo! — krzyknął hrabia, doszedłszy do najwyższego paroksyzmu wściekłości. — Nie znałem nigdy innych praw nad sobą, prócz mojej własnej woli! Czy pan to rozumiesz?! Należę do tych, którzy potrafią li rozkazywać, a dumne czoło nie uchylą przed nikim, chyba przed królem swoim, i to królem z łaski bożej, potomkiem Ludwika świętego! a nie przed monarchą z woli motłochu! choćby tam sobie ten głupi motłoch i posadził kogo na tronie! Za kogoż to pan mnie bierzesz? Za automat? za wiecheć słomiany?! Czyś myślał, żem ślepy i głuchy?! Jeżeli latami całemi patrzyłem przez palce, na wasze dziecinne amory, jeżeli wreszcie przystałem na mezaljans — boć inaczej nie mogę nazwać połączenia mojej córki, z jakimś tam adwokacikiem — to nie w innym celu, tylko żeby mieć zięciem prawnika, któryby mię bronił w danym razie, gdyby nikczemny rząd dzisiejszy, śmiał zaczepić hrabiego de Trameillan, i wywlec na tapet, jakie historje zapleśniałe. Od waszej przemądrej Republiki, wszystkiego można się spodziewać! Tymczasem pan, zamiast wziąć moją stronę, jak to było twoją świętą powinnością, czego się po panu spodziewałem, za tyle ofiar dla niego uczynionych, śmiesz pierwszy mnie oskarżać!... chcesz wlec przed kratki sądowe nazwisko hrabiego de Trameillan!... I myślisz szaleńcze zuchwały, że dom mój będzie jak dawniej stał dla ciebie otworem? że ci wolno będzie przestawać i korespondować z Walentyną?!... Wszystko między nami skończone panie adwokacie! Od tej chwili, nie tylko jesteś mi obcym zupełnie, ale stałeś się moim wrogiem, nad którym mścić się będę wszelkimi sposobami! Myślisz pan jeszcze o zaślubieniu Walentyny, mimo woli mojej?!... Przysięgam ci, że to się nie stanie!... Gdybym miał ją odesłać na koniec świata!... gdybym miał...

Urwał w pół słowa, gdyż mu tchu zabrakło, taki gniew nim miotał szalony. Uspokoiwszy się cokolwiek dodał łagodniej:

— Uprzedziłem pana, masz wóz i przewóz! Zastanów się dobrze, i albo wyrzeknij się na zawsze Walentyny, lub odstąp od tego procesu bezsensnego!...

— Od niczego nie odstąpię! — odparł Armand z zimną energją i zupełnym spokojem. Wiedział dobrze, na czem skończą się straszliwe pogróżki hrabiego. — Walentyna będzie moją żoną, a Torquenié cześć swoją odzyska. Wolno panu otoczyć córkę szpiegami, wolno przejmywać nikczemnie listy do niej pisane, wolno nawet na krańce świata ją wywieźć, znajdę sposób, żeby się z nią porozumieć, potrafię odszukać, choćbyś nie wiem gdzie ją ukrył przedemną!...

Z tem dumnem wyzwaniem, rzuconem śmiało w oczy hrabiemu, Armand zniknął w ciemnościach nocy. Starzec puścił się wprawdzie za nim, z dzikim rykiem i złorzeczeniem, nie mógł go jednak dogonić. Chciał może wydrzeć gwałtem na Armandzie przyrzeczenie, iż odstąpi od procesu, czy też działał bezwiednie, uniesiony wściekłym szałem...

Dość długo, obijały się jeszcze o uszy Armanda krzyki hrabiego, wreszcie wszystko ucichło, i wkrótce znalazł się w swoim pokoju.

Tutaj opuściła go energja, wywołana groźbami brutalnemi hrabiego. Truchlał na myśl, ile wycierpi biedna Walentyna, przewidywał następności najfatalniejsze dla nich obojga, szczególniej dla tego dziecka biednego, rzuconego na pastwę tyranowi bez serca, bez litości, zdolnego do wszelkich zbrodni, do wszelkich okrucieństw!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Rodzina Balthazar była w komplecie. Matka i trzej synowie rozmawiali siedząc przy ogniu po wieczerzy, w tej ponurej oberży, przed którą każdy wieśniak zamiast wejść, przyspieszał kroku. Stara mówiła:

— Gdybyśmy mieli jeszcze jaką korzyść z tej zbrodni, którą nam przypisują! Lecz mamy tylko nieprzyjemności z tymi żandarmami, którzy ciągle napadają nasz dom i przewracają wszystko do góry nogami.

— A jednakże jesteśmy niewinni śmierci pana de Maugeville — rzekł Szymon.

— Gdybyśmy byli to zrobili — odezwał się Jan — to pewnie nie za darmo.

— Nie przeszkadza to jednak — dodał Michał cierpko — że najpierw nas zaaresztowano, a potem pustelnika.

— A! prawda! — mówiła dalej Klara Balthazar — musieliście także słyszeć?

— Co takiego? — zapytał Szymon.

— Mówią, że nowym pustelnikiem jest Fanfreluche.

— To bajki — odrzekł Szymon — gdyby to było prawdą, nie puszczonoby go tak prędko. Żandarmi są zanadto przebiegli.

— Czy który z was go widział? — zapytała jeszcze stara.

— Ja — odezwał się Jan. — Zdybałem go pewnego poranka pod lasem.

— I ty byś nie poznał kuglarza?

— Ależ ten nowy pustelnik zupełnie niepodobny do niego. Najpierw Fanfreluche miał brodę krótką, a ten ma długą aż do pasa.

— Zkądże przyszedł ten pustelnik?

— Nie wiem - odrzekł Szymon — ale suknia nic nie znaczy. Gdy jeden umrze, zaraz zjawia się drugi w tem samem ubraniu.

— Czy kto widział jakiegoś cygana, który zabił Maugeville'a? — zapytała jeszcze Klara Balthazar.

— Nikt — odpowiedział Szymon.

— Jednakże pani zamku utrzymuje, że to był cygan.

Jan Balthazar zmrużył oczy mówiąc:

— Wiesz co matko, że to wszystko bardzo niejasne, i że pani zamku mówiła tak o cyganie, jakby mogła mówić o całkiem innej osobie.

— Co przez to rozumiesz?

— Już ja wiem, co mówię... — szepnął Jan, wstał, otworzył drzwi i wyszedł na dwór.

Deszcz lał jak z cebra.

— Co za czas djabelski! — rzekł, wróciwszy do chaty. — Już mamy prawie maj na niebie, a deszcz leje prawie co dzień.

— I zimno przy tem — mówił Michał — jak wśród zimy, że chętnie spi się przy piecu.

— I nikt nie przyjdzie — mruczała stara.

Szymon zaczął się śmiać.

— Wiesz matko, że nasza oberża nigdy bardzo uczęszczaną nie była.

— Szczególniej do przejazdu trzech handlarzy — dodał Michał drwiąco.

Stara spojrzała niechętnie na obu.

— Jesteście próżniaki i do niczego! — dodała.

— No! no! — rzekł Szymon, tonem przybranej powagi, jako starszy z braci — nie potrzebujecie się skarżyć: dziedzictwo ojca podrestaurowało nas nieźle!

— Nie starczy to na długo — mruczała stara.

— To potem obaczymy — dodał Szymon. — Tymczasem idźmy spać, to najlepiej. — I włożył do ognia kawałek jodły smolnej, który wyjął po chwili palący się niebieskawo. Było to zwykle światło dla oszczędności używane w oberży pod Sową, gdy nie mieli podróżnych.

Stara wstała, i podczas gdy syn zakładał w jakieś żelaziwo tę pochodnię smolną, zaczęła porządkować naczynie z wieczerzy, stojące jeszcze na stole.

Odkąd, dzięki kuglarzowi, familja Balthazar chwyciła pieniądze rzeźnika, zakopane w lesie w Frettoye, nie odmawiali sobie niczego.

Stara chodziła codziennie do miasteczka po mięso i słoninę, kupili nawet ćwiartówkę wina, a porzucili jabłecznik, który roku zeszłego byli zrobili dla oszczędności. Pili dobrze i zajadali do syta, a Michał powtarzał: „Teraz przynajmniej można użyć jakiejś przyjemności."

Gdy naczynie było uprzątnione, a resztki kolacji schowane, Klara rzekła do synów:

— Teraz możecie iść spać. Dobranoc wam!

— Dobranoc matko! — odpowiedzieli.

Po drabinie wchodziło się na strych, gdzie wszyscy trzej Balthazar spali, jeden na materacu, drugi na sieniku, a trzeci na słomie.

W tej obszernej izbie, było jednak łóżko z materacami, prześcieradłem i kołdrą, przeznaczone dla podróżnego. Lecz mówiono, że często ten, co na nim zasnął, nie obudził się więcej.

Matka Balthazar spała na dole, w łóżku z baldachimem, które stało koło drabiny, naprzeciw drzwi. Gdy synowie poszli na strych, stara udała, że kładzie się do łóżka, i nawet zgasiła pochodnię. Ale gdy ucichły kroki synów nad nią, gdy niesłyszała już ich głosów, tylko chrapanie donośne, wstała, zapaliła już nie pochodnię, ale lampę, i zbliżyła się do szafki, w którą zwykle składała żywność. Potem zdjęła koszyk ze ściany i postawiła go na stole.

Następnie wyjęła z szafki dwie butelki wina, chleb duży, kawałek słoniny i resztki z ćwiartki baraniej. Wszystko to włożyła w koszyk i zostawiła go na stole. Potem zgasiła lampę i położyła się do łóżka.

W kwadrans później, lekkie skrzypnięcie drabiny dało się słyszeć. Ktoś schodził boso po drabinie, bojąc się obudzić spiących.

— Kto tam? — zapytała Klara półgłosem.

— To ja, matko.

Stara poznała głos swego syna Michała.

— A! to ty?

— Tak, ja. A gdzie koszyk?

— Na dole.

Zbliżył się do łóżka i nachylił.

— Widzisz, że się niczego nie domyślają — szepnął.

— To lepiej, mój chłopcze.

— Jeszcze - dodał Michał z cicha — Jan jest człowiekiem, na którego możnaby rachować... ale Szymon...

— Milcz! — rzekła stara z wyrazem gniewu gwałtownego — to nienawiść dla brata, zmysły ci odbiera w tej chwili. Ale ponieważ obaj nic nie wiedzą, to lepiej niech tak zostanie.

Michał nic nie odpowiedział.

— Czy spią? — zapytała matka.

— Chrapią oba.

— Staraj się powrócić, nim się obudzą.

— Będę z powrotem za dwie godziny.

I podczas gdy szukał koszyka na stole, macając pociemku, stara szeptała:

— Z tem wszystkiem, strzał ten dotąd nie wiele ci przyniósł.

— Obaczysz później matko — odrzekł Michał.

— Nędzne pięćset franków — dodała Klara pogardliwie.

— Spodziewamy się mieć więcej, ja i on.

— A teraz musisz go jeszcze żywić!...

— Aż dopokąd nie będzie mógł uciec i wrócić do Paryża. Tam już nie będzie się obawiał niczego.

— Ale to nie przeszkadza — mówiła stara — że, jeżeli go złapią, oskarży cię i powie, jak rzeczy stoją.

— Nie ma niebezpieczeństwa.

— Myślisz?

— Jestem pewny. Gdyby go złapano, powie, że to on strzelał. I nie wypowie nawet mego imienia.

— Bodaj cię szatan wysłuchał! — mruknęła stara Balthazar, nakrywając się z głową.

Michał znalazł koszyk i założył na rękę. Potem zbliżył się do komina, zdjął strzelbę ze ściany, otwo-

rzył drzwi po cichu i wyszedł.

Deszcz lał ciągle.

— W taki czas — mówił sam do siebie wychodząc — żandarmi zwykle są w domu.

Potem zamiast zejść w dolinę, zaczął się wdrapywać na wysokie skały, wznoszące się niedaleko oberży.

Skała była prostopadła, jakgdyby wały z granitu zrobione były ludzką ręką od strony rzeki, podczas gdy przeciwnie z drugiej strony, szło się ścieżką urwistą, wijącą się po pochyłości dość znacznej. Drogą tą poszedł Michał.

Gdy wyszedł już na górę, zatrzymał się chwilę, spojrzał na niebo, okryte czarnemi chmurami, z których deszcz nie przestawał padać i usiadł, aby odpocząć chwil kilka. Poczem przyłożył palce do ust i wydał głos jakiś żałośny i chrypliwy, naśladujący doskonale krzyk sowy.

Podobny temu krzyk odpowiedział. Tylko odpowiedź zdawała się pochodzić z głębi rzeki. Wtedy Michał zbliżył się do brzegu, położył na brzuchu i wysunął głowę naprzód. W ścianie skalistej była masa dziur na trzydzieści lub czterdzieści stóp po nad powierzchnią rzeki, a na dwadzieścia lub trzydzieści pod wierzchołkiem.

Dziury te, prawdziwe gniazda ptaków drapieżnych, służyły za schronienie sokołom, sępom, a niekiedy nawet i orzeł raczył tam zamieszkać. Ale wejścia te były nieprzystępne dla ludzi, i jak daleko sięgała pamięć ludzka, nie pamiętano, aby kto wdrapywał się na te mury z granitu. Jednakże Michał leżąc na brzuchu prostopadle nad jednem wydrążeniem, powtórzył znowu krzyk sowy. Potem czekał.

Coś zaruszało się wkrótce w dziurze i głowa ludzka się pokazała.

— To ja! — zawołał Michał.

Głowa jakaś skinęła na znak powitania. Potem głos doleciał uszu Michała:

— Nic nowego? — pytał głos.

— Nic — odpowiedział Michał. I odwiązał sznur, który miał okręcony na około pasa.

Potem przywiązując koszyk z prowiantami do tego sznura, spuścił go ku otworowi skały.

Istota ludzka czekała widocznie na to.

Gdy koszyk spuścił się, ręka jakaś chwyciła sznur i koszyk zniknął na chwilę.

Dziwny mieszkaniec skały, wypróżnił go zapewne, bo w kilka chwil potem, koszyk ukazał się znowu, ale wisiał już lekki na sznurze. Wtedy Michał zawołał:

— Do widzenia... za dwa dni.

— Do widzenia i dziękuję — odpowiedział więzień.

I głowa znikła.

Ani Michał Balthazar na skale, ani więzień dobrowolny, któremu przynosił jedzenie, nie zauważyli postaci czarnej, pomiędzy topolami okalającemi drogę z drugiej strony l'Yonny. Gdy więzień powrócił do swej jaskini nadpowietrznej i gdy Michał Balthazar zeszedł na ścieżkę, prowadzącą do oberży pod Sową, postać ta nieruchoma dotąd, poruszyła się nagle i oddaliła prędko. Był to jakiś człowiek na koniu, który pogonił galopem.

Człowiek ten podpatrzył tajemnicę Michała Balthazar.

X.

Michał Balthazar powrócił jeszcze przededniem, i jego bracia spali mocno gdy wdrapał się na strych, który im służył wszystkim za sypialnię.

Żaden z nich nie obudził się w czasie jego nieobecności.

Nazajutrz, życie próżniacze, które prowadziła rodzina od czasu wykopania skarbu, trwało dalej.

Jedli, pili i drzemali, stara łajała, synowie mruczeli, popołudniu jeden poszedł do miasteczka Mailly — drugi kłusować do lasu, a trzeci został w domu. Byłto Michał.

Stara podchmieliła sobie trochę przy objedzie.

— Idźcie spać trochę matko — rzekł Michał. — Ja ugotuję sam dziś wieczerzę.

— A gdyby zjawili się jacy podróżni?

Michał zaśmiał się.

— Wiesz matko dobrze, że nie mamy teraz podróżnych.

Klara Balthazar powiedziała to tylko pewnie dla zaspokojenia swego sumienia, gdyż zaraz potem rzuciła się ubrana na łóżko i wkrótce głośno chrapać zaczęła. Wtedy Michał usiadł na progu we drzwiach, z fajką w ustach.

Po deszczu ulewnym, który padał nocy zeszłej, pogoda była prześliczna teraz, a niebo cudownie błękitne.

Michał, który miał wprawne i bystre oko kłusownika, spostrzegł nagle w głębi doliny, jakiś punkt czarny, na drodze do Coulanges.

— He! he! — zaśmiał się — byłoby to śmieszne, żeby matka odgadła i gdyby to był w istocie jaki podróżny.

I zaczął się wpatrywać w punkt czarny, który powiększał się, zbliżając.

Wkrótce Michał poznał dokładnie jakiegoś człowieka. Człowiek ten szedł prędko, strzelbę miał przewieszoną, przez plecy i torbę myśliwską.

Gdy doszedł do ścieżki, która prowadziła na poprzek skał aż do oberży pod Sową, zatrzymał się nagle i zdawał wahać.

— No, no — szepnął do siebie Michał — zdaje się, że pić mu się chce.

W istocie po krótkiem wahaniu, człowiek ten wszedł na ścieżkę.

— Doprawdy miałbym ochotę zbudzić matkę — myślał Michał — uśmiechając się ironicznie. — Jakiś podróżny! do kata! to nie zawsze się zdarza!

Ale w miarę jak podróżny zbliżał się co raz więcej i Michał przypatrywał mu się uważniej, poznał go wreszcie.

— A do djabła! — zawołał — to Rajmund Lanet, myśliwy. Jeszcze jeden, który nie ma ani centa w kieszeni. Mogę zostawić matkę; niech sobie chrapie.

Był to w istocie człowiek, którego Michał znał dobrze, ten Rajmund Lanet, kłusownik, polujący z łasicą na króliki. Uchodził za zręcznego w tem niecnem rzemiośle, był postrachem właścicieli, którym niszczył całe nory w jednej nocy, i był przedmiotem rozpaczy strażników i żandarmów, którzy nigdy nie mogli go schwycić.

Reputacja Rajmunda Lanet była olbrzymią.

Zaopatrywał on ciągle w młode króliki wszystkie miasteczka okoliczne. Może sto razy żadarmerja wkraczała do niego, nie znalazłszy nigdy nic, ani łapek, ani sieci, ani zwierzyny. Jednakże człowiek ten nie żenował się wcale, i z miesiąc naprzód zapowiadał, że będzie polował w tym lub owym majątku. Wtedy strażnicy, żandarmi, wszystko co było, czuwało dzień i noc, a mimoto majątek ten, tak jak zapowiedział, był spustoszony.

Złoczyńcy pewnej zdolności, poważają się wzajemnie. Michał, który cenił bardzo Rajmunda, poszedł kilka kroków na jego spotkanie.

— Zdaje mi się, że macie pragnienie kolego? — zapytał.

— Trochę.

— Potraktuję cię winem, ale jakim, zobaczysz!

I Michał wprowadził Rajmunda do chaty, który mówił:

— Miałem myśl iść aż do Mailly, ale bardzo mi się pić chciało.

— Dobrześ zrobił, żeś wstąpił.

Michał zeszedł do piwnicy i powrócił z dwoma butelkami wina białego.

Rajmund usiadł przy stole, a wskazując na alkowę zapytał:

— Czy to matka chrapie?

— Tak — odrzekł Michał — trochę podochociła sobie.

— A bracia?

— Jan poszedł do Mailly.

— A Szymon?

— Jest na polowaniu; dostał pozwolenie. Ale burmistrz w Mailly skrzywił się bardzo wydając mu je. A tobie kolego, jak tam idzie?

— Ot! jakoś — odparł Rajmund.

— Króliki coraz rzadsze, nieprawdaż?

— Jak się komu wydaje! — odrzekł kłusownik.

— No! i spolowałeś z jakie kilka tysięcy, co?

— A! tak... ale to mnoży się prędko!

— Chciałbym cię — rzekł Michał — widzieć przy tej robocie.

— Dobrze, jak zechcesz. Jesteś chłopcem, któremu można zaufać.

— Spodziewam się.

Kłusownik zamyślił się, zdawał się wahać niby, lecz trwało to tylko chwilę, i podparłszy się łokciami na stole, tak się odezwał:

— Czy jesteś dobrym piechurem?

— Tam, do kata.

— Uszedłbyś dwanaście mil jednej nocy, sześć tam a sześć napowrót?

— Z pewnością.

— Czy słyszałeś o zamku de Rochepinte?

— Zamek markiza B?...

— Tak.

— Nie znam go. — odrzekł Michał — To prawda, że to z jakie sześć mil. I cóż?

— Rozmówię się tam z królikami tej nocy. Możebyś chciał mi pomódz...

Michał myślał sobie:

— Mój człowiek w skale ma jadła na dwa dni, nie mam więc nic do czynienia. Dobra sposobność rozerwać się trochę.

I dodał głośno:

— Chętnie.... chodźmy!

— O! nie tak zaraz! — odrzekł kłusownik — nie tak załatwiam interesa.

— Co mówisz? — zapytał Michał.

— I gdybym tak szedł do celu, dawno by mię już chwycili, widzisz...

— No mów — odrzekł Michał — słucham cię.

— A więc, powiem jak rzeczy stoją — mówił Rajmund. — Dawniej markiz używał mię do polowania, płacił mi nawet małą pensyjkę, abym nie ruszał jego królików. Jestem kłusownikiem ale uczciwym. Dopóki markiz dotrzymywał słowa, nie ruszałem jego królików. Dawano mi sto franków rocznie, a gdy markiz miał ochotę sam polować na wydry, sprowadzał mię do siebie. Są jeszcze ludzie, którzy się chwalą, że zabijają wydry, ale to nie prawda. Trzeba nieraz spędzić z dziesięć nocy nad brzegiem rzeki, w miejscach najwięcej przez nie uczęszczanych. Ja także nie zabiłem ich zanadto wiele w mojem życiu, ale każdym razem jak poszedłem z markizem, który strzela zresztą doskonale, nie powróciliśmy nigdy próżno.

— Doprawdy?

— A jednakże to było powodem naszego poróżnienia.

— Jakto?

— Przed dwoma miesiącami, wieczór, o godzinie dziesiątej, markiz przysłał do mnie swego strzelca, każąc mi powiedzieć, iż oczekuje mnie dziś, abym przyszedł, bo pójdziemy polować na wydry. Zimno było straszliwe, miałem febrę, trząsłem się cały i nie chciałem pójść. Nazajutrz markiz kazał mi powiedzieć, że jeżeli przestąpię próg jego domu, każe mnie obić i żebym odtąd nie rachował więcej na żadną pensję od niego. Wtedy powiedziałem sobie: jeżeli on nie płaci pensji, mogę wziąć się do jego królików. Strzeż się panie markizie! Ale on ma strażników nie mało i drwi sobie ze mnie, przynajmniej, zdaje mu się, że może sobie drwić. Przed tygodniem zdybałem w Coulanges jego strzelca, który mi powiedział tonem drwiącym:

— A czy wiesz, że nigdy nie mieliśmy tyle królików, co w tym roku?

— Doprawdy?! — odpowiedziałem śmiejąc się.

— Powiadam ci bajecznie dużo.

— Przerzedzę ja je wam tam w tych dniach! — odrzekłem.

Zaczął się śmiać i dodał:

— Mamy tam łapki na wilki, a potem, ponieważ park jest obwiedziony murem, więc strzelamy do kłusowników.

— To mi wszystko jedno! — odpowiedziałem.

— Nie przeszkadza to jednak — mówił dalej Rajmund Lanet, — że od tygodnia wszyscy są na nogach w Rochepinte. Wczoraj, przedwczoraj i ostatniej nocy, nie kładli się zupełnie. Ale tej nocy spać będą.

— Dlaczego?

— Bo będą wiedzieć o dziesiątej wieczór, że pojechałem do Auxerre.

Michał wpatrzył się w kłusownika. Ten zmrużył oko i mówił dalej:

— Idę do Mailly.

— No?

— O szóstej godzinie wsiadam do wózka ojca Janot, który odjeżdża do Auxerre. Strzelec markiza jest właśnie w Mailly i urządzę się tak, aby mię widział, gdy wsiadać będę do wózka. Powraca on do Rochepinte i dziś wieczór wszyscy będą spać spokojnie.

— Ale jeżeli jedziesz do Auxerre?...

— To jest jadę do doliny Lisigny. Tam zsiadam z wózka, dostaję do lasów de Fontenay, schodzę do Frettoye, potem do Coulanges, przepływam l'Yonnę wpław, bo mógłby mię kto obaczyć na moście, a o północy rozpoczynamy zastawianie sieci.

— I bierzesz mnie z sobą?

— To jest, jeżeli masz ochotę, umówimy się, gdzie mamy się zejść.

— Gdzież więc?

— Czy znasz folwark Chenevières?

— Do kata! wszak dzierżawca jego jest przyjacielem kłusowników.

— A więc bądź tam punkt o jedenastej.

— Dobrze — odrzekł Michał — a będziesz miał łasice?

— Łasice, sieci, wszystko.

Mówiąc to Rajmund wypróżnił ostatnią szklankę wina, przewiesił strzelbę przez plecy, ścisnął za rękę Michała i wyszedł z oberży.

Michał ścigał go długo oczami, potem gdy już zniknął mu z oczu, powrócił do chałupy, odsunął firanki w alkowie i zaczął budzić matkę, która spała ciągle.

Otworzyła nareszcie oczy, a spostrzegłszy butelki próżne i szklanki na stole, zawołała?

— Więc był ktoś przecie?

— Tak — odrzekł Michał śmiejąc się.

— Któż taki?

— Podróżny.

Klara krzyknęła rozpaczliwie.

— Dlaczego nie zbudziłeś mię gałganie? — zawołała.

— Nie warto było; nie miał pieniędzy.

— I dawałeś mu pić?

— Miał pragnienie.

— Jest woda w studni..... — mruczała stara gniewnie.

— Tak, ale to przyjaciel.

— Któż taki?

— Rajmund, kłusownik.

Klara Balthazar uspokoiła się.

— To co innego — odrzekła. — Czy zostawił ci przynajmniej jakiego królika?

— Da mi tej nocy.

— Przechodzić więc będzie tędy?

— Nie, ale mam się z nim zejść w lesie i dlatego was obudziłem, nie chcąc tak dom zostawić.

Stara zmarszczyła brwi.

— A mnie by się zdawało, że lepiej abyś tam nie szedł — odrzekła.

— Dlaczego?

— Nie wiem... ale tak mi się jakoś zdaje.... tak się zaawanturujesz z tymi żandarmami.... że.... obaczysz... jednego dnia...

— Cóż?

— Zamkną cię za to co wiesz...

— O! co do tego, jestem zupełnie spokojny! — — odrzekł Michał i wziąwszy strzelbę i torbę myśliwską dodał:

— Jeżeli bracia zapytają o mnie, powiedzcie, żem poszedł na zasiadkę. — I wyszedł zostawiając matkę dręczoną jakiemś przeczuciem.

XI.

Kłusownicy znają dokładnie drogi najkrótsze. Nie lubią oni dróg głównych, które zresztą przedłużają zawsze odległość. Chodzą zwykle lasami. Przełażą płoty, przeskakują rowy, wdrapują się na mury, przepływają wpław strumyki i bagna, aby dojść najkrótszą drogą do celu.

Michał Balthazar nie poszedł więc szeroką główną drogą do Coulanges, ale skierował się na prawo do Frettoye poboczną ścieżką, przedarł się przez gęstą cierninę, w tak zwany dół Wilczy, i był blisko krańcu lasu, niedaleko Coulanges nad wieczorem, gdy dzwoniono na Anioł pański.

— Nie potrzebuję się tak spieszyć — pomyślał Michał — mogę być widziany w Coulanges i zwrócić uwagę jakiego strażnika z Rochepinte. — I położył się w krzakach, zapalił fajkę, czekając aż się ściemni. Ale leżąc tak w krzakach i czuwając z przyzwyczajenia, usłyszał jakgdyby szmer liści opodal siebie.

Z początku sądził, że to jaki królik wychodzi z nory, ale wkrótce poznał odgłos kroków ludzkich. Podniósł się po cichu i spojrzał do koła. Ścieżką niedaleko krzaków, szła jakaś kobieta opierając się na kiju.

Chociaż ściemniło się już w lesie, poznał natychmiast Brehaigne, wróżkę żebraczkę, która znikła od śmierci Maugeville'a.

— Ciekawym! — szepnął sam do siebie — zkąd ona może powracać?... Mówiono, że umarła.

Próżniactwo robi człowieka ciekawym, a Michał miał jeszcze przeszło godzinę czasu przed sobą.

Brehaigne, oprócz swojej torby, miała jeszcze mały koszyk na ręku. Ten koszyk zaintrygował jeszcze bardziej Michała.

Zdjął buty, aby iść jeszcze ciszej, i posuwał się z krzaków do krzaków, zatrzymując się, jeżeli przypadkiem stara kobieta zwolniła nagle kroku, i tak przeszło kwadrans nie tracił jej z oczu.

Scieżka, którą szła ta kobieta, była mu dobrze znana, i prowadziła prosto do miasteczka Courson.

— Zdaje się — mówił do siebie — że stara opuściła Coulanges i mieszka teraz w Courson. I dlatego myślano, że umarła.

Ścieżka prowadziła przez małą łączkę w lesie. Na tej łączce był pniak drzewa, niedawno ścięty przez leśnych. Na tym pniaku było coś, niby jakaś kłoda, a że ściemniło się już znacznie, trudno było poznać. Czy był to drugi pniak położony na pierwszym? Czy też istota jaka żyjąca?

Michał zatrzymał się, podczas gdy Brehaigne szła dalej ścieżką. Gdy stara kobieta była już blisko pniaka, kłoda poruszyła się i podniosła. Rzekłbyś, że jakiś niedźwiedź.

Lecz Michał poznał natychmiast, z kim miała do czynienia Brehaigne. Był to nowy pustelnik w habicie.

Michał coraz bardziej rozciekawiony, przykucnął w krzaku, i widział, jak stara kobieta podała koszyk pustelnikowi, wymieniwszy z nim słów kilka, które odległość nie dała mu słyszeć.

Potem Brehaigne poszła dalej tą samą drogą, a pustelnik puścił się lasem w inną stronę. Wtedy kłusownik zawahał się i nie wiedział co robić. Czy iść za pustelnikiem i przekonać się, co było w koszyku, czy iść dalej za starą wróżką?

Ale pustelnik mógł go zaprowadzić daleko, bo zdawał się zwracać na północ, to jest w przeciwną stronę do Coulanges, a zatem i od miejsca schadzki, którą miał Michał w folwarku de Chenevières. A chciał zejść się koniecznie z Rajmundem Lanet.

Wróżka zaś stara przeciwnie szła na południe, a zatem idąc za nią, Michał zbliżał się do brzegu l'Yonny. I to go skłoniło, że poszedł za starą Brehaigne.

Czekał, aż pustelnik się oddalił, potem ubrał buty i puścił się śmiało ścieżką, idąc spiesznie.

Brehaigne obróciła się.

— A dzieńdobry matko! — krzyknął Michał.

— Dzieńdobry mój chłopcze — odrzekła stara zatrzymując się.

— A, a! — zapytał — a zkąd to zjawiliście się matko?! Mówiono, żeście umarli.

— I nikt za mną nie płakał, nieprawdaż? — dodała stara z uśmiechem tęsknym.

— Kto wie matko... Ale gdzież to podzieliście się byli?

— Chodziłam odwidzić krewnych.

— Daleko ztąd?

— Z tamtej strony Auxerre.

— E, e! matko! — zaśmiał się Michał — mieliście ładny koszyk na ręku przed chwilą.

Stara drgnęła, ale prędko powstrzymała wzruszenie.

— Więc widziałeś mój koszyk? — rzekła.

— Tak jak ciebie widzę w tej chwili; widziałem także pustelnika.

— A! widziałeś także pustelnika?

— Trochę.

— To poczciwy człowiek — rzekła obojętnie. — Podobał mu się mój koszyk, więc dałam mu go.

— Ho, ho! matko! — odrzekł Michał zmrużywszy oko — czy nie macie ochoty zadrwić sobie ze mnie?

— To możliwe chłopcze.

— I jakto, nie było nic w waszym koszyku?

— Może, że i nie...

— No proszę! — zawołał Michał — nie zwykliście mówić wszystkim o waszych interesach matko Brehaigne!

— Bo ja nie mięszam się do interesów drugich — odparła krótko.

— Jednakże przepowiadacie przyszłość.

— To co innego. To moje zatrudnienie.

— No, a mnie matko powiecie co?

— Daj mi dwa sous — odrzekła.

Michał wyjął z kieszeni pięćdziesiąt centów, a dając je starej kobiecie rzekł:

— Płacę jak mieszczanin, widzicie, ale powiedzcież mi także co pięknego...

— To nie zależy odemnie. To twoja ręka powie.

— Macie ją, patrzcie!

Brehaigne wzięła rękę Michała Balthazar i zaczęła przypatrywać się jej uważnie, mówiąc:

— Nie widzę ja tu nic dobrego.

— Doprawdy? — odrzekł Michał tonem drwiącym.

— Oddam ci twoje pieniądze, chłopcze.

— Ale nie, mówcie matko. Jakto, nie widzicie nic dobrego w mojej ręce?

— Nic dobrego.

— Ani pieniędzy?

— Nie wiele.

— A miłości tam niema?

— Niema zupełnie.

— A doczekam ja starości?

— Nie.

— Jaką śmiercią umrę?

— Źle robisz, że mię o to pytasz — odrzekła Brehaigne, wstrząsnąwszy głową.

Michał się zamyślił. Byli właśnie w miejscu najbardziej ponurem. Na prawo i lewo od ścieżki, wznosiły się wielkie skały szarawe, a na nich gdzieniegdzie jakby widma, widać było białe pniaki brzóz. Przed nimi ciągnął się las gęsty i dziki, pełen cieniu i tajemnic.

Pierwszy raz w życiu może, uczuł Michał jakiś w lesie lęk, chociaż zwykle nocował po lasach. Ale opanował wzruszenie.

— Et, stara czarownico! — zawołał — chcę coś wiedzieć za moje pieniądze.

— Wszakże chciałam ci je zwrócić!

— Nie, nie, chcę wiedzieć.

— Wiedzieć, co?

— Jaką śmiercią umrę.

— Niech więc będzie, jak sobie życzysz — rzekła stara głosem głuchym, w którym przebijała się jednak jakaś dzika powaga.

— Słucham.

Potem wzięła go raz jeszcze za rękę, przypatrywała się dobrze a wpatrzywszy się w wzruszonego Michała, swemi małemi oczkami siwemi, rzekła:

— Zginiesz na gilotynie!

Michał krzyknął i oparł się o pniak drzewa. Wróżka oddaliła się.

Michał, któremu serce biło gwałtownie, a pot wystąpił na czoło, nie starał się jej zatrzymać, i stał tak przeszło z godzinę. Ale wieśniacy, choć zwykle są bardzo łatwowierni, po namyśle powątpiewać zaczynają. I z Michałem stało się to samo.

— Czym oszalał! — zawołał sam do siebie, prostując się nagle i postępując kilka kroków naprzód, dla dodania sobie odwagi — tak, jakgdyby ta stara żebraczka mogła wiedzieć, widząc moją rękę, co mi się może w życiu przytrafić!

Uszedł znowu kilka kroków dalej, pocieszając się:

— Zresztą — mówił — jestem już z takiej familji; mój ojciec nie darmo jest w Cayenne! I jeżeli muszę kiedyś poddać się tej operacji, to idzie to tak prędko, że nie warto nawet o tem myśleć!

Widziałem to w Auxerre w roku zeszłym. To bagatela. Chwilka jak jeden łyk wina. I mówiąc to z takim cynizmem, Michał puścił się dalej w drogę, choć się noc już była zrobiła zupełnie czarna. Gwiazd nawet nie było na niebie.

— Dobry czas do kłusowania królików — szepnął do siebie.

I wyszedł z lasu, przeszedł koło winnic drogą boczną, aby nie przechodzić przez miasto, i doszedł do mostu, na którym już nikogo nie było.

Gdy przeszedł na drugą stronę rzeki, zaczął iść polami. Folwark de Chenevières był na granicy Nivernais, o małe pół mili od zamku Rochepinte.

Mgła szarawa nad brzegiem l'Yonny znikła. Kilka gwiazd zabłysło na niebie. Nie było jeszcze dziesiątej wieczór.

— Dobrze! — pomyślał sobie Michał — mogę się jeszcze trochę przespać w folwarku, nim nadejdzie Rajmund Lanet.

Gdy był już pod murem folwarku, gwiznął w pewien sposób. Dzierżawca folwarku należał do towarzystwa kłusowników. Przechowywał on zwierzynę. Wyszedł z domu i odpowiedział podobnem gwiznięciem. Wtedy Michał zbliżył się.

— Kto to? — zapytał pierwszy.

— Balthazar — odpowiedział Michał.

Dzierżawca otworzył drzwi podwórka.

— A! to ty! — rzekł poznając Michała.

— Tak ojcze.

— Czy masz mi co do sprzedania?

— Nie.

— Cóż więc chcesz odemnie?

— Mam schadzkę u ciebie z przyjaciółmi.

— Z kimże.

— Z Rajmundem Lanet.

— O, o! — odrzekł dzierżawca z niedowierzaniem — on jest w Auxerre.

— Wiem... ale to nic nie szkodzi... poczekam na niego.

A widząc, że dzierżawca nie dowierza mu jeszcze, dodał:

— Należę do wyprawy do zamku Rochepinte.

— A to co innego — odpowiedział dzierżawca. — Chodź mój chłopcze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.